

№ 34 Sobota, dnia 8 września 1928 r. Rok

Siewna

Na polskie łany
Na zaorany
Ugór, na pustkę smug —
Najświętsza Panna,
Gwiazda zaranna,
Z niebieskich idzie dróg...

Niepokalana
Ta Matka Pana,
Jaśniejsza nad blask zórz,
W świt rozsrebrzony
Na pól zagony
Rozsiewa ziarna zbóż...

I żyzną rolę,
I puste pole —
Hen — błogosławi w krąg...
I pada ziarno
Na ziemię czarną
Z przeczystych Marji rąk...

W ten czas poranny
Najświętszej Panny
Nie widzi ludzki wzrok.....
Lecz z tą legendą
Prośby się przedą
O plony pól — co rok....

Dzień Matki Siewnej,
Tak dziwnie rzewny,
Nad polską ziemią lśni...
Przez ten dzień cały
Pieśń czci i chwały
Dla Siewnej Pani brzmi.

M. Chełmońska.

Obrona Wiednia.

(Dnia 12 września 1683 r).

Wesoła, rozbawiona zwykle, stolica naddunajska, Wiedeń, przechodziła straszne chwile niepokoju. Jak daleko okiem zasięgnąć, otaczały Wiedeń nieprzejrzane zastępy nieprzyjaciela; nieprzyjaciela strasznego, nie znającego litości dla zwyciężonych — Turka.

Przerażenie ogarniało cały świat chrześcijański, bo jeżeli Wiedeń, nie oprze się nawale pogańskiej, to Europa będzie stracona.

Obrońcy Wiednia śmiało patrzyli śmierci w oczy, która szła ku nim nieubłagana, straszna z szeregów nieprzyjaciół.

Opuszczeni byli od pana swego cesarza Leopolda, który pozornie schronił się do Linzu.

— — — — — — — — — — — — — —

Sierpniowe słońce migotało na zbrojnych w srebrzyste blachy zastępach rycerskich, na skrzydłach huzarzy, na ciężkich cielskach armat, przeprawiających się przez Dunaj.

I szedł ten lud zbrojny w stronę zagrożonego Wiednia.

Któż oni?

To Polacy — obrońcy wiary!

Ci, których historja słusznie szczytnem mianem „przedmurza chrześcijaństwa" obdarzyła, śpieszą ratować krzyż od zniewagi. Polacy, niepomni wiekowych krzywd, spieszą ratować odwiecznego wroga Polski i Słowiańszczyzny — Niemca! Za Dunajem połączyli się Polacy z posiłkami austrjackiemi, które wiódł książę Karol Lotaryński, a dowództwo naczelne objął sławny pogromca Turków, król Jan Sobieski.

Z trudem przedzierało się rycerstwo przez lesiste stepy zarosłe wąwozy — aż po długich trudach dotarli do podnóża góry Kalhenberg.

Dnia 12 września roku 1683-go — nie słońce zbudziło ludzi — lecz ludzie słońce! Gdy wyjrzało zdziwione z za czarnych borów, zastało rycerzy polskich na klęczkach. Na ołtarzu, zbudowanym z bębnów, odprawiała się święta Ofiara. Król i rycerze na kolanach błagali Pana Zastępów o łaskę i błogosławieństwo dla swego oręża.

I głosi historja, że kapłan, sprawujący Najświętszą Ofiarę, kończąc Mszę św. wyrzekł proroczo zamiast „Ite missa est" — „Vinces Joannes" to znaczy: „Zwyciężysz Janie"! — Zapał ogarnął rycerstwo. Wierzyli, że zwyciężą i z niecierpliwością czekali hasła do boju.

O godzinie 8-ej z rana padł rozkaz! I ruszyły polskie zastępy z góry Kahlenberga i rozpoczęła się krwawa walka. Dawno świat takiej nie widział! Straszny a wspaniały widok, gdy w blaskach słońca migotały jasne błyski stali ubroczonej rubinami krwi.

Gdy oskrzydleni huzarze spadali niby groźne srebrne ptaki na zastępy tureckie.

Gdy las kolorowych chorągiewek u rycerskich kopij uderzał na walczących janczarów.

Powyżej wstrząsało powietrze straszne granie armat Marcina Kątskiego, posyłających z pagórka śmierć w szeregi tureckie. A ponad tym krwawym, strasznym, a wspaniałym obrazem powiewały dwa symbole zmagających się tu światów — Biały Orzeł, broniący krzyża i zielona chorągiew Mahometa, broniąca półksiężyca. I krzyż zwyciężył!

Ta sama skrzydlata husarja, która przelatywała zwycięsko za Szwedem Polskę od końca do końca, zadecydowała głównie o zwycięstwie.

Turcy pobici na głowę, uciekali, zostawiając obóz cały nieprzeliczone skarby w ręku zwycięzców. I odetchnął Wiedeń

radowała się Europa, ocalono chrześcijaństwo!

A wielki zwycięzca, Jan III, słał do Rzymu do Namiestnika Chrystusowego wieść o zwycięstwie polskiego oręża:

„Przybyłem, zobaczyłem, Bóg zwyciężył

Do szkoły.

Przyszedł nareszcie ten dziwny dzień, przed którym czasami strach oblatywał, którego jednak czekało się tak niecierpliwie.

Bo przecież przyjemnie jest iść z teczką do szkoły i nie być już zwykłym Tomkiem i zwykłą Basią, tylko uczniami pierwszego oddziału. Ale znowu kto wie, jak tam będzie w tej szkole, może gorzej niż w domu?

Czy go jednak dzieci chciały, czy go nie chciały, dzień rozpoczęcia szkoły nie pytał o to wcale i przyszedł o swojej porze

Wstali wcześnie, wcześniej niż było trzeba, pomimo tego Basi się ręce trzęsły z pośpiechu, kiedy sznurowała trzewiki. Nie dojadła chleba i mleka wypiła tylko pół kubka.

— Wypij, Basiu to mleko.

— Nie mogę już.

— Wypij córuchno, sił nie będzież miała...,

Basia się krzywi:

— Kiedy mnie się nie chce jeść...

— W butelkę ci dam, w szkole wypijesz.

Basia nie chce za nic, będą się z niej jeszcze śmieli...

Matka odprowadza Tomka i Basię do skrzyżowania dróg, całuje w czoło i mówi głosem, który trochę drży:

— Pamiętajcie ten dzień, od dzisiaj zaczynacie nowe życie.

Dzieci poszły szerokiem gościńcem w strone szkoły.

W szkole pachniało mydlinami i świeżem wapnem. Wszystko było nowe, czyste i świeże. Dzieci nadchodziło coraz więcej. Panie uwijały się między niemi, ustawiały parami długiego bez końca węża, który na komendę ruszył w stronę kościoła, drogą naprzełaj, między rżyskami zasnutemi pajęczyną.

Starsze oddziały śpiewały, ale oni „z pierwszego" nie umieli jeszcze żadnej wspólnej pieśni. Szli więc tylko trochę zawstydzeni, trzymając się za ręce i wybijając mocno takt piętami.

Po powrocie do klasy, pani zaczęła ich rozsadzać.

— Ja chcę w pierwszej ławce! — krzyknęła Basia.

— I ja też!

— I my też, proszę pani — odezwały się głosy.

— Wszystkich nie posadzę na pierwszej ławce, jest ich tylko dwie.

— To tylko nas, proszę pani!

— Kto chce siedzieć w pierwszej ławce, niech podniesie rękę.

Kilkanaście rąk wzleciało go góry.

— Doskonale, a teraz się przekonamy, kto ma do tego największe prawo.

I zaczęła pani odsyłać dzieci kolejno do ostatnich ławek. Gdy dziecko tam stanęło, pani rysowała ną tablicy różne różności. Dzieci musiały poznawać, co pani rysuje.

To było ciekawe i zabawne.

Niektóre dzieci widziały z końca klasy piórko na kapeluszu pajaca, a inne nie mogły nawet dostrzec całego pajaca.

Zosia Prządkówna z końca klasy ledwo tablicę widziała. Zawołała ją pani do pierwszej ławki, pokazuje jej domek i pyta:

— Powiedz, Zosiu, co to jest?

Zosia się przygląda długo i mówi:

— Krowa...

Więc dzieci w śmiech, ale pani się nie śmiała wcale, kazała Zosi podejść jeszcze bliżej i dopiero na dwa kroki od tablicy Zosia poznała, że to jest domek.

Dzieci, które najgorzej widziały, pani oddzielała; było ich aż czworo.

— No, skończyliśmy, to była „próba wzroku" — powiedziała pani. — Przekonaliśmy się, że czworo z pomiędzy was bardzo źle widzi. Powiedzcie teraz sami, komu się należą pierwsze ławki?!

— Tym, którzy źle widzą! — krzyknęła cała klasa.

Basia wracała do domu z sercem przepełnionem jakiemś dziwnem uczuciem wzruszenia. Sprzeciwili się jej woli (gdyby się tak stało w domu, byłaby nadąsana przez pół dnia). Nie posadzili jej na pierwszej ławce, choć bardzo tego chciała. A jednak w tem dobrowolnem wyrzeczeniu się dla kolegów, którzy więcej tego potrzebowali, było coś bardzo przyjemnego: poczucie jakiejś dobrej i mądrej sprawiedliwości, która rządzi klasą.

— Wiesz, Tomek — zwróciła się nagle do brata, — gdybym ja źle widziała, to z pewnością posadziłaby mnie pani w pierwszej ławce.

— To się wie — przytwierdził Tomek.

W tej chwili mijali rozstajne drogi. Basi przypomniały się słowa matki — „od dzisiaj zaczynacie nowe życie"...

Tak, to prawda, jak to inaczej w szkole, nie można się tam pieścić ze sobą, ani grymasić, jest się tylko małą cząsteczką całej dużej klasy, ale jak wesoło.

Z furtki wyszła mama na ich spotkanie.

— No, jak tam było w szkole?

— W szkole? Bardzo dobrze! — krzyknęli razem.

M Kownacka.